

**LANGE**

**ANTONI**

MIRANDA

Lange Antoni

**Miranda**

«Public Domain»

**Antoni L.**

Miranda / L. Antoni — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

I	5
II	10
III	13
IV	19
Конец ознакомительного фрагмента.	23

# Antoni Lange

## Miranda

### I

W samym początku roku 1919 wrócił Jan Podobłoczny z dalekiej a niedobrowolnej podróży przez morza i lądy. Zebraliśmy się na jego powitanie u naszych wspólnych znajomych, państwa W., gdzie też zatrzymała się żona p. Jana oraz jego dwoje dzieci, które przybyły z matką ze wsi, spod Nowego Dworu.

Oczywiście byliśmy ciekawi, co przeżył i co widział Jan Podobłoczny przez te cztery lata, gdyż wyjechał w roku 1915.

– Dawno nie byłem – zaczął Jan – w gronie osób tak miłych i bliskich, i dawno nie miałem tak serdecznej okazji do zwierzeń i wspomnień. Przebaczycie mi więc, jeżeli, wzruszony waszą życzliwością, będę może nawet za gadatliwy i nadużyję waszego zaciekawienia. Ale istotnie tak nadzwyczajne rzeczy spotkałem w podróży, że nie będę w stanie powstrzymać się, gdy mi wspomnienia tłoczyć się będą jedne na drugie.

Od roku 1915 nagle zaczęły mnie ścigać nieszczęścia: ale zaczynam wierzyć, że wszelkie cierpienie ukrywa w sobie tajemnicę jakiejś przyszłej nagrody. Jakoż za te przykrości, co mnie spotkały, zostałem sownie wynagrodzony.

Początek moich nieszczęść jest bardzo banalny: w kwietniu 1915 roku siedziałem w kawiarni z pewnym znajomym i *najspokojniej* mówiliśmy o zdarzeniach ówczesnych. Umyślnie podkreślałem że mówiliśmy *najspokojniej*, gdyż żadnej namiętności ani we mnie, ani w nim nie było. Prowadziliśmy spór: on dowodził, że Rosja wygra; ja zaś – że przegra.

Wykazywałem, że nie ma absolutnie nadziei, aby Rosja mogła mieć jakikolwiek sukces; dowodziłem matematycznie przez *a* plus *b*.

I otóż moja algebra nie podobała się jakiemuś sąsiadowi, na którego nie zwracałem uwagi.

Ten, widać dobrze zorientowany sąsiad, nagle wyszedł, ale wkrótce powrócił w towarzystwie żandarma i, wskazując moją osobę, oświadczył, że ja wygłaszałem opinie szkodliwe dla armii rosyjskiej i dla państwa, że jestem „porażeniec”, że wróżę pogrom Rosji itd.

Żandarm, wysłuchawszy tego wszystkiego, z wyszukaną grzecznością rzekł mi:

– *Pożałujcie*<sup>1</sup>.

Cóż miałem robić? *Pożałowałem*. Słowem aresztowano mnie, a wkrótce potem znalazłem się w wagonie i jechałem w niewiadomym kierunku – na północo-wschód. Jakoż zostałem wysłany do Irkucka, a potem nad jezioro Bajkał, do miejscowości Li-cza-cheń.

Zarówno w więzieniu, jak i w drodze interesował mnie nie tyle mój własny los, ile jedna sprawa, którą się jak najżywiej zajmowałem w czasie, gdy cały świat był opętany wojną.

Z przyczyny wady w płucach zostałem uznany za niezdatnego do służby wojskowej i mogłem się oddać innym sprawom. Co do mojej rodziny, to wiedziałem, że jej byt jest zabezpieczony i że nic złego jej nie zagraża.

Jedyna sprawa, której, jadąc na wygnanie, żałowałem najwięcej, była to Miranda<sup>2</sup>, osoba tak niepospolita, że drugiej istoty *ludzkiej* – takiej jak ona – spotkać mi się nie zdarzyło.

Pisałem do niej raz jeden, natychmiast po przyjeździe do Li-cza-cheń i po siedmiu tygodniach otrzymałem odpowiedź z Warszawy; ale potem już wiadomości od niej nie miałem. Da się to łatwo

---

<sup>1</sup> *pożałujcie* (tu z ros. *пожалуйста*) – proszę ze mną. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *Miranda* – imię to pochodzi od łac. przymiotnika *mirandus*: cudowny, zadziwiający; stanowi nawiązanie do bohaterki *Burzy* Shakespeare'a. [przypis edytorski]

wy tłumaczyć, gdyż w owym czasie Warszawę zajęli już Niemcy i oczywiście komunikacja listowa między Rosją a Europą centralną została przerwana.

Po powrocie pierwszą sprawą, jaką się zająłem, było poszukiwanie Mirandy: w Warszawie jej nie ma, o czym się dowiedziałem, jak to wam opowiem niezadługo, ale zacząłem starania, by ją odnaleźć w Niemczech albo Anglii. Ponieważ Miranda (właściwe nazwisko Ketty Douglas) była z pochodzenia Szkotką, Niemcy ją zaarrestowali i gdzieś zesłali do Niemiec na pobyt jako obywatelkę z państw nieprzyjacielskich.

Niewątpliwie wśród<sup>3</sup> obecnych tutaj niejedyn, jeżeli nie znał osobiście Mirandy, to słyszał o niej: zapewne też i wielu Niemcom była ona znaną i być może próbowali z nią robić doświadczenia; choć, o ile sądzę, w warunkach nienawiści, jaką dyszeli wówczas – żadne eksperymenty udać się im nie mogły.

Miranda było to medium tak niepospolite, że historia naszych badań psychofizycznych zna ledwie kilka osobników tego rodzaju.

Mianowicie w jej obecności rozwijała się najdoskonalsza, jaką można sobie wyobrazić, materializacja ciała astralnego w postać ludzką. Można powiedzieć, że była to ta sama Miranda, tylko jakby w edycji ulepszonej. Miranda była nieładna, jej astral wprost cudowny.

Widmo przybierało formy tak cieleśnie skondensowane, że czuleś bicie jej serca, uderzenia pulsów, tętnienie krwi. Temperatura ciała wizji była niższa od ludzkiej, ale bardzo wysoka. Płynął też od niej dziwny zapach: jakby mięszanina<sup>4</sup> woni fijołków<sup>5</sup> i wilgotnej ziemi.

Ale to wszystko jest rzeczą drugorzędną: najważniejszą jest sprawa taka. Od dawna już zajmując się mediumizmem, stworzyłem sobie teorię, do której zresztą samoistnie doszedł badacz węgierski Taratori, że mianowicie *materializacja widma odbywa się kosztem dematerializacji medium*.

Dematerializacja medium może być minimalna – i wtedy widmo właściwie się nie ukazuje; ale w miarę wyższej dematerializacji medium – materializacja widma staje się coraz wyrazistsza. Są to wypadki bardzo nieczęste, ale właśnie doświadczenia moje z Mirandą w znakomity sposób stwierdzały tę hipotezę.

Widmo (które nosiło imię *Lenora*) nie zawsze bywało równie całkowite. Czasami ledwie widoczne; czasami jednak pełne, precyzyjnie wykończone, od stóp do głów. I trwałość zjawy bywała niejednakowa: czasami po paru minutach znikwała, czasami krążyła wśród nas ćwierć godziny z górą.

Owóż, o ile *Lenora* była doskonale zmaterializowana, o tyle u Mirandy dawało się zauważyć zjawisko tego rodzaju, że znikwały jej nogi lub ręce, albo inna część ciała (wyjawszy głowy i tułowia). Znikały: po prostu na miejscu rąk czy nóg zjawiała się próżnia; suknia opadała, jakby żadne ciało się pod nią nie ukrywało, co istotnie zostało dokładnie stwierdzone. Z chwilą, gdy widmo się rozplątało, nogi Mirandy, że tak powiem, wracały na swoje miejsce.

Niestety jednak takie pełne i długotrwałe materializacje *Lenory* były dla Mirandy sprawą bolesną – i po każdym takim doświadczeniu – musiała długo odpoczywać, czasem po parę miesięcy. Po prostu mówiąc *Lenora* zabierała znaczną część *witalu*, czyli elementu życiowego Mirandy – i niejako skracala jej życie.

Na dwa miesiące przed moim aresztowaniem mieliśmy zjawę wyjątkowo doskonałą. *Lenora mówiła*; powiedziała tylko te słowa: „Jeszcze nie teraz”.<sup>6</sup> Co prawda, nikt nie rozumiał, do czego to się może stosować, ale rzecz najważniejsza, że głos jej słyszeliśmy, głos wcale różny od głosu Mirandy. Po czym uderzyła kilka razy w struny gitary, która była w pokoju – i zagrała kilka tonów bardzo pięknej melodii.

---

<sup>3</sup> *śród* (daw.) – wśród. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *mięszanina* – dziś popr.: mieszanina. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *fijolek* – dziś popr.: fiołek. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *Lenora mówiła; powiedziała tylko te słowa: „Jeszcze nie teraz”*. – być może nawiązanie do słów szekspirowskiej Mirandy: „Kto jestem, nieraz rozpoczętą powieść / Urwałeś nagle, a wszystkie pytania / Zbywałeś słowem: czekaj, nie czas jeszcze.” (*Burza*, akt I, scena II). [przypis edytorski]

Była odziana białą szatą z nieokreślonej materii; kawałek szarfy, którą była przepasana, obciąłem, za jej pozwoleniem (uśmiechnęła się i kiwnęła głową), nożyczkami i zachowałem to sobie: zostawiłem ten skarb w Warszawie, ale gdzie jest w chwili obecnej – nie wiem dokładnie.

Miranda miała silne poty i kilka razy żądała wody do picia; pani Z. i pani T. pospieszyły ku niej i przekonały się, że Miranda nie ma ani rąk ani nóg – i zaledwie trzyma się na krześle. Wyraz strasznego cierpienia był na jej twarzy: widmo krążyło między nami blisko dwadzieścia minut. Medium zaczęło naraz bardzo ciężko dyszeć i zawołało:

– Ratunku! Ginę – umieram!

Jednocześnie Lenora zniknęła. Medium się uspokoiło. Nogi i ręce ukazały się na nowo. Zapaliliśmy mocne światło: medium siedziało blade jak trup. Miranda – po tym seansie – była bardzo wycieńczona – i przeczuałem, że będzie musiała dwa-trzy miesiące odpoczywać. Właśnie mijał już drugi miesiąc i Miranda nabierała sił i zdrowia.

Gotowałem się do nowego seansu: tym razem, wyznaję, miałem pomysł szatański. Chciałem dematerializację medium doprowadzić do ostateczności, a widmo Lenory utrwalić na czas dłuższy: przynajmniej na sześć godzin!

Co będzie wówczas? Czym się stanie medium? Czy zniknie zupełnie, czy też jakaś jego cząstka zostanie? A jeżeli medium zniknie – czy powróci na ziemię, czy nie powróci? Czy serce Mirandy tę przemianę wytrzyma? Jak będzie wyglądało trwanie Lenory? Jak się astral będzie zachowywać? itd.

Były to problemy, które rozważałem sam ze sobą, gdyż tej tajemnicy nikomu nie chciałem powierzyć. Jedyny człowiek, któremu bym ośmielił się ten plan odsłonić, był to Paracels Nirwid, nasz kolega, którego znaleźcie prawie wszyscy.

Człowiek ten doszedł być może do ostatecznej granicy naszej wiedzy o naturze i materii; do granicy, gdzie się Byt przelewa w Niebyt i vice versa. Odkrył on zasadniczy pierwiastek, z którego całe istnienie się składa – i nazwał go Nirwidium.

Dziwne to ciało niczym innym właściwie nie jest, jeno<sup>7</sup> punktem bezwymiarowym, czymś zupełnie bezcielesnym i niematerialnym: atom doprowadzony do swej ostatecznej i rzeczywistej niepodzielności. Jest to owa Nicość pierwotna, z której Bóg stworzył świat. Nauka – jak wiemy – nie przyjęła na razie teorii Nirwida i przeczy istnieniu Nirwidium, ale ściśle biorąc jest na drodze ku jej uznaniu.

Na nieszczęście Nirwid w roku 1912 tragiczną śmiercią zginął w Paryżu, jako ofiara swych badań naukowych. Nie mogłem mu więc o tym powiedzieć: i nie mówiłbym o tym wcale, gdyby nie to, że w podróży swojej natrafiłem na kraj, gdzie Nirwidium jest znane – zarówno teoretycznie, jak i praktycznie.

Również i Mirandzie nic nie mówiłem, gdyż zapewne na ten eksperyment nigdy by się nie zgodziła, a trzeba dodać, że nasze medium było zawsze przytomne i nie wpadało nigdy w katalepsję.

Tak więc sam w sobie gryzłem tę tajemnicę, gdy oto naraz znalazłem się w Li-cza-cheń nad jeziorem Bajkalskim lub jak miejscowa ludność mówi: Dalaj-Nor (święte morze).

Li-cza-cheń leży nad Irkutem w miejscu, gdzie ta rzeka wpada do Bajkału; leży u stóp wysokich, 1000–2000 metrów liczących gór Chamar-Dabon, porośniętych jodłą i świerkiem.

W jeziorze są foki, a nadto liczne gatunki ryb, jak przeważnie: jesiotry, łososie i sumy; liczne też napotyka się ptactwo, jak mewy, czajki, dzikie kaczki, żurawie, rybitwy itd.

Przyjechałem tam w maju, kiedy się zaczynało lato i było bardzo gorąco. We wrześniu zaczęły się mrozy, a w listopadzie i rzeka i jezioro pokryły się lodem. Sprawilem sobie dobre futro niedźwiedzie i zauważyłem, że zima tutejsza, mroźna, ale równa i jednostajna, ma dla mnie skutki dobre.

---

<sup>7</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

Istotnie, gdy nadeszła wiosna 1916 roku, wszystkie moje cierpienia płucne gdzieś pierzchły: przeciwnie, miałem oddech pełny i szeroki – i tu dopiero zacząłem rozumieć, jak ważną funkcją naszego życia jest oddychanie.

Sztuki oddychania nauczył mnie mój gospodarz, u którego władza wyznaczyła mi kwatery.

Li-cza-cheń jest to raczej wieś niż miasteczko. Mieszkańcy są pochodzenia mongolskiego, wyznają wiarę buddyjską podług nauki Lamy tybetańskiego i ogólnie zowią ich „Lamaici”.

Jednakże z dawnej wiary pogańskiej pozostało w ich obyczajach niejedno, jak np. łączność urzędu kapłańskiego z czarnoksięstwem; przy czym talent czarnoksięski rozwija się tu również pod wpływem nauki jogów indyjskich, która wprowadziła do ich praktyk pewne metody psychiczne, dawnym szamanom nieznane.

Mój gospodarz był właśnie arcykapłanem naszego osiedla.

Wyznać muszę, że rzadko się napotyka ludzi tak zacnych i czystych, tak bezinteresownych i życzliwych jak moi Lamaici z Li-cza-cheń.

Są to zresztą ludzie prości i nieoświeceni. Ich pojęcia o budowie państwa i polityce są arcynaiwne. Panowanie Mikołaja II uważają za bardzo nieszczęśliwe. Cesarz źle rządzi i dlatego krowy mało mleka dają. Przez parę lat ostatnich susza wypaliła trawę na pastwiskach i krowy miały nie dość pożywienia. Zarówno tę szuszę jak i brak mleka Lamaici przypisywali złym rządóm cesarza Mikołaja.

O wojnie wiedzieli, ale mało ich obchodziła: była tak daleko! Gazet nie czytali; od czasu do czasu tylko jakieś wieści dopływały do nas. Głównie interesują ich krowy, rybołówstwo, a także polowanie na ptaki, lisy, niedźwiedzie. Chaty budują z drzewa i gaolanu<sup>8</sup>; sadzą żyto i jęczmień, które tu się nieźle udają. Mają stare pieśni o bogach i bohaterach, a nadto kapłanów, którzy umieją robić cuda.

Mój gospodarz – człowiek bardzo czcigodny – był, jak mówiliśmy, kapłanem, a zarazem przechowywał tradycje dawnych szamanów-czarowników. Był on sędzią w sprawach kryminalnych; dawał śluby, błogosławił nowo narodzonych, grzebał umarłych. Przepowiadał przyszłość, wywoływał deszcze, odpędzał burze i pioruny, odnajdywał zaginione krowy albo rzeczy ukradzione; wypędzał diabła z opętanych, leczył choroby podług systemu lekarzy tybetańskich, zwanego *jud-szi*. Wywoływał umarłych i rozmawiał za ich pośrednictwem z najwyższym Buddą.

Była to bardzo poważna władza moralna i społeczna w naszej miejscowości i nawet przedstawiciele rządu rosyjskiego z nim się liczyli, a niższe stopnie nawet porady u niego szukały.

Z gospodarzem moim zaprzyjaźniłem się wielce i nieraz gadaliśmy o zjawach, jakie on widywał lub wywoływał. Szaman dziwił się, skąd ja znam jego tajemnice i uważał mnie za wielkiego czarownika.

W istocie sztuka mediumiczna była po wszystkie czasy i we wszystkich krajach jedna i ta sama – i stąd jest wielkie podobieństwo procedury i zjawisk. Europa tylko zarzuciła tę sztukę, gdyż inną poszła drogą, ale teraz i ona do niej powraca – przy tym z zasobem większym wiedzy pozytywnej.

Przyglądając się praktykom szamana przekonałem się, że jest on naraz i magnetyzerem, i medium: na tym polega jego siła.

Szaman nie był wcale zazdrosny, kiedy ludność zwracała się do mnie w różnych sprawach; młodzi mówili mi o swoich troskach miłosnych, kobiety żądały zaklęć na choroby lub poprawę gospodarstwa. Szaman sam chętnie słuchał moich wskazań – podobnie jak ja chciałem skorzystać z jego doświadczenia.

Mnie głównie zastanawiał problemat, czy u mego szamana w czasie transu przy materializacji widma odbywa się dematerializacja ciała, jak to było u Mirandy. Oczywiście nic mu o tym nie mówiłem, ale rzecz obserwowałem.

---

<sup>8</sup> *gaolan*, własc. *gaoliang* – sorgo japońskie, zboże uprawiane na Dalekim Wschodzie; słomy z tej rośliny używano powszechnie do krycia dachów chat. [przypis edytorski]

Szaman dla swoich czarów wprowadzał się sam w stan katalepsji; jego pomocnik, przyszły szaman, miał obowiązek budzić go po pewnym czasie, choć mój gospodarz mógł też sam sobie nakazać, że się obudzi o takiej a takiej godzinie; czynił to jednak dla nauki i ćwiczenia swego następnego. Czasem ja zastępowałem pomocnika.

W czasie katalepsji szamana ukazywało się widmo, które przemawiało językiem mongolskim, bardzo mało mi znanym, tak że nic go nie rozumiałem. Kilka razy, jakby z ogromnym trudem, duch mówił po polsku. Powiedział mi raz: „Warszawę zajęli Niemcy.” Innym razem mi powiedział: „Mirandę wywieźli (Niemcy) do Mmmburga.” Nazwę miasta wybełkotał niewyraźnie.

Owóz u mego szamana dematerializacja odbywała się, ale w stopniu bardzo nieznacznym. Mianowicie jego ręce i nogi stawały się nieco szczuplejsze niż w stanie normalnym, ale nie znikwały, jak u Mirandy.

Byłoby rzeczą nader cenną zważyć ciężar szamana w czasie jawy i w czasie transu, ale niestety nie miałem odpowiedniej wagi.

Choć zagadnienie moje było bardzo nęcące, krępowałem się jednak robić ten eksperyment, gdyż, o ile by ten stary szaman zniknął i dajmy na to nie powrócił – to mógłbym łącno uchodzić za jego zabójcę i wywołać niezadowolenie lub zemstę gościnnych i dobrych ludzi, wśród których losy kazały mi zamieszkać.

## II

Pewnego dnia w czerwcu roku 1917 przyszedł do mnie miejscowy *uradnik*<sup>9</sup> i powiedział mi, że cesarz Mikołaj został pozbawiony tronu, że w Rosji jest rewolucja, że teraz jest wolność i republika – i zacznie się raj na ziemi; że wszystkie pieniądze z *kazny*<sup>10</sup> zabrali i rozdają ludowi i że wszyscy będą bogaci.

Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy na wieść o tych wszystkich przewrotach, była taka, żeby natychmiast opuścić granicę tego nowego raju ziemskiego – i przedostać się gdzie bądź do innych krain.

Istotnie wszelkie władze zmiękły i osłabły zupełnie; po prostu przestały być czynne.

Pożegnałem swoich gospodarzy i całą ludność wioski Li-cza-cheń, a mogę bez przechwałek powiedzieć, że mnie żegnano ze łzami w oczach: wynająłem następnie czółna – i brzegiem Bajkału wyruszyłem na południe, a później znów nieco na północ do zatoki Prowalskiej i ujścia rzeki Sekengi; rzeką dotarłem do Kiachty<sup>11</sup>, a potem do Urgi.

W ten sposób znalazłem się w granicach republiki Chińskiej. Jakiś czas przesiedziałem w Chinach, skąd wyjechałem do Japonii.

Cel mój był ten, by sięść na jakiś okręt angielski lub inny i tą czy ową drogą dotrzeć do Europy, by zamieszkać w Szwajcarii, albo w innym państwie neutralnym.

Świat chiński i japoński bardzo mnie zaciekawiał i, gdybym nie był tak żądny powrotu do Europy, chętnie bym oddał się badaniu tutejszych stosunków. Widziałem tam dużo rzeczy godnych uwagi, ale po większej części są one powszechnie znane, gdyż wielu podróżnych dziwy te opisywało.

Innym razem opowiem wam szczegóły mego pobytu w państwie Niebieskim i w krainie Wschodzącego Słońca: tu wspomnę jedynie o małej wycieczce, którą, będąc w Japonii, uczyniłem w towarzystwie kilku innych cudzoziemców na wyspę Rakaszimę.

Z Jokohamy, gdzie jakiś czas przepędziłem, przenieśliem się do Hakodate, głównego portu wyspy Jezo, gdyż mówiono mi, że w najbliższym czasie odjeżdża stąd okręt angielski do Indii.

W odległości najwyżej dwunastu kilometrów od Hakodate leży niewielka wyspa Rakaszima: zewnątrz niczym szczególnym ona się nie odznacza, ale ma jakąś niezbadaną dotychczas tajemnicę czy to gleby, czy klimatu, która sprawia, że ludzie urodzeni na tej wyspie żyją odwiecznie i nigdy nie umierają. Po prostu nie są w stanie obliczyć, ile lat przeżyli na świecie.

Jest ich na wyspie koło tysiąca osób, mężczyzn i kobiet. Dawniej było ich więcej, ale ci, którzy się przenieśli na ląd albo na sąsiednie wyspy – rychło umierali.

Pozostałych instynkt samozachowawczy powstrzymuje od wyjazdu i za nic w świecie Rakaszimy opuścić nie chcą. Trafiają się zresztą osobniki znudzone tym jednostajnym odwiecznym istnieniem; osobniki spragnione końca – i ci czasami wyjeżdżają do Hakodate lub gdzie indziej, przeczuwając, że znajdą tam rychły odpoczynek w grobie.

Ludność przedstawia typ mieszany: są małego wzrostu, jak Japończycy, ale krępi, jak Ainosy<sup>12</sup> i jak oni, mają ciemną cerę i wielkie brody, najczęściej szpakowate, a czasami prawie białe.

Ci ludzie nieśmiertelni wyglądają na osoby lat 50–55 i już tej formy nigdy nie zmieniają: jest to niby edycja *ne varietur*.

Żyją sobie spokojnie z połowu ryb, pereł, z wyrobu szkatułek, lalek, zabawek, które toczą z drzewa, laki, muszelek, tkaniny.

---

<sup>9</sup> *uradnik* (ros. *урядник*) – niższy stopniem policjant w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *kazna* (ros. *казна*) – budżet państwowy, skarb państwa. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *Kiachta* – miasto w Buriacji, w pld.-wsch. części Rosji, przy granicy z Mongolią. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *Ainosy*, własc. *Ajnowie* a. *Ainu* – mniejszość etniczna w Japonii, lud tubylczy zamieszkujący daw. Sachalin i wyspy Japonii, dziś głównie wyspę Hokkaido. [przypis edytorski]

Rolnictwa nie uprawiają, gdyż chleb i ryż dostają od sąsiadów za swoje towary; natomiast hodują kozy i owce, których mlekiem i serem się żywią.

Przypuszczałem, że ludzie, którzy tyle nieskończonych lat żyją na ziemi, muszą mieć nadzwyczajne wspomnienia, doświadczenie bogate, mądrość niezglębioną.

Niestety – zarówno ja, jak i moi towarzysze – rozczarowaliśmy się boleśnie. Czas przestał dla tych ludzi istnieć; wskutek nieustannego ich trwania czas stał się dla nich kategorią zgoła niewyczuwalną; żyli poza czasem. Nie istniało dla nich ani wczoraj, ani jutro. Zaledwie jak przez mgłę pamiętają dzień poprzedni: nie wiedzą o niczym, ani co do siebie, ani co do swojego rodowodu, bytu, stanowiska. Roboty swoje wykonywają mechanicznie, jakby cudzą ręką. Zatracili wszelką ciekawość, wszelkie pożądanie, wszelką namiętność.

Robią wrażenie ludzi niemłodych, ale rześkich i zdrowych: o ile ktoś zachoruje, w ciągu dwóch-trzech godzin wraca do zdrowia sam przez się. Pomimo tę rześkość, pozbawieni są wyobraźni, zdolności do podziwu, uczuć erotycznych.

Nie umierają, ale też nie rodzą się zupełnie. Nie oczekują niczego, nie spodziewają się żadnej przemiany, żadnej przyszłości.

Życie ich jest jednostajne: bez smutku i bez radości, bez cierpień i bez upojeń.

Są jednak niezmiernie do życia przywiązani i o śmierci wiedzą tylko z opowiadań i tych wypadków, gdy jakiś obcy wśród nich zamieszka i umrze.

Rząd japoński mało się nimi zajmuje, ale kilku urzędników zawsze tu przebywa, którzy reprezentują państwo.

Owóz dla tych obcych klimat jest dziwnie szkodliwy i zazwyczaj umierają przedwcześnie.

Nam, którzyśmy tu na dwa dni przybyli – powietrze wydawało się szczególnie duszne i niezdrowo upajające.

Taką jest wyspa Rakaszima i jej mieszkańcy.

Po dwóch dniach wróciliśmy do Hakodate.

Jeden z podróżnych, pastor anglikański, gdyśmy z politowaniem mówili o smutnym losie tych ludzi, zauważył:

– Przekonaliśmy się, że nie umierać to nie znaczy być nieśmiertelnym. Brak cierpienia jest nieszczęściem nie mniejszym niż samo cierpienie, a kto nie przewiduje śmierci i kresu – tego życie jest pozbawione wszelkiej pobudki do życia. Śmierć jest to wielkie i mądre prawo boskie – i stanowi najkonieczniejszy warunek istotnego życia.

Z Hakodate nazajutrz odpływał niewielki statek angielski „Return”, który jechał na wyspę Cejlon.

Siadłem na ten okręt, przypuszczając, że z Cejlonu prędzej czy później dostanę się gdzie bliżej Europy.

Pogodę mieliśmy bardzo piękną i byliśmy wszyscy przekonani, że dojedziemy na miejsce szczęśliwie. Istotnie aż do Singapore losy nam sprzyjały – również bez zdarzenia przepłynęliśmy cieśninę między Wyspami Andamańskimi i Nikobarskimi.

Nie więcej jak sześć do siedmiu stopni równikowych dzieliło nas od Cejlonu, gdy nagle stanęliśmy nad brzegiem zagłady.

Po morzu Indyjskim krążyły przed paru laty korsarskie okręty niemieckie, które ściśle biorąc, zostały już wszystkie zniszczone, ale tu i ówdzie pozostawiły one miny podwodne, bardzo niebezpieczne dla pływających statków.

Trafiały się też, choć rzadziej w tych stronach, łodzie podwodne. Ale nie łódź podwodna nas zgubiła, tylko zabłąkana mina.

W pobliżu Cejlonu na taką minę wpadliśmy niespodzianie. Okręt zaczął się chwiać i w wodzie pogrążyć. Byliśmy gotowi na śmierć.

Niewielu nas było: razem z załogą koło sześćdziesięciu osób. Mieliśmy dwie łodzie ratunkowe. Kapitan nasz na jedną chwilę przytomności nie stracił.

Natychmiast kazał łodzie spuścić na wodę – i wszyscy po kolei zaczęli skakać z pomostu do czółen.

Obliczywszy, przekonaliśmy się, że pozostało nas czterdzieści jeden osób; reszta widać utonąła. Podzieliliśmy się na dwie grupy: w jednej łodzi było dwudziestu ludzi, w drugiej dwudziestu i jeden. Ja znalazłem się w tej drugiej.

Wyspa Cejlon była już, niby we mgle, widoczna – i wszystko zapewne dobrze by się skończyło, gdyby nie to, że naraz szaleć zaczęła straszliwa burza.

Łodzie nasze się rozłączyły: jedną fale poniosły na wschód, jakby ku Wyspom Andamańskim; drugą, w której byłem ja – na południo-zachód.

Kołysana wiatrem, wstrząsana bałwanami morskimi – nasza łódź coraz napełniała się wodą – i znów przeczuwaliśmy, że nam śmierć zagraża.

Ale może i to byśmy przetrwali, gdyby nie rafa podwodna, o którą naraz łódź nasza uderzyła i strzaskała się na szczęty. Ostatnia nasza godzina nadeszła.

Znalazłem się na bezgranicznej toni fal bez żadnego oparcia. Nikogo z moich towarzyszków<sup>13</sup> nie mogłem dostrzec ani w pobliżu, ani z dala.

Widocznie oderwało mnie od nich i byłem dość daleko: instynkt kazał mi się uchwycić kawałka strzaskanej łodzi. Byłem na świetle bezwzględnie sam jeden, jak w swoim czasie Odyseusz.

Szczątki naszej łodzi widziałem rozproszone: tu jej boki, tam dno, ówdzie deski pojedyncze, lina, wiosła.

Dopłynąłem do liny i przywiązałem nią siebie do tej części rozbitego czółna, która dotąd była moim oparciem.

Burza już od piętnastu minut ucichła i mogłem to wszystko czynić z pewną swobodą.

Chwyliłem też wiosło – i tak starałem się płynąć w kierunku, który powierzyłem instynktowi. Byłem przekonany, że nie zginę.

Wkrótce też ujrzałem gęsty тумan, który niewątpliwie był wybrzeżem jakiegoś lądu lub wyspy. Sześć lub siedem godzin aż do wyczerpania wiosłowałem, by się do tego brzegu dostać.

Na koniec, dzięki składając Bogu, znalazłem się na piaszczystym cyplu nieznanego mi kraju.

Odwiązując się i grzejąc na słońcu przemokłe szaty i przemokłe ciało, patrzałem wokoło, zaciekawiony, co mię<sup>14</sup> tu oczekuje.

Cypel był długi może na ćwierć kilometra, żadną trawą ani krzewami nie porosły; był zupełnie płaski jak i część lądu, którą mogłem dostrzec w dalszym jego ciągu. O drugie ćwierć kilometra zaczynał się grunt podnosić i krajobraz, gęstym lasem porosły, był pagórkowaty, dalej zaś dostrzegłem wcale wysoką górę, mającą do sześciuset metrów wysokości.

Zdaje się, że na szczycie tej góry widniały jakieś zabudowania, ale było zbyt daleko, bym coś mógł twierdzić na pewno.

Byłem zresztą bardzo zmęczony i oczy mi się kleiły; nadto upajał mnie dziwnie zapach hijacyntów<sup>15</sup>, migdałów i kwiatu cytrynowego, zapewne z tych lasów idący.

Osuszywszy nędzne moje łachmany, ubrałem się na nowo – i poszedłszy nieco głębiej w wybrzeże – znużony, usnąłem kamiennym snem człowieka, który w jednym dniu uległ dwa razy rozbiciu okrętu i łodzi.

---

<sup>13</sup> *towarzyszów* – dziś popr. forma: *towarzyszy*. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *mię* – dziś popr. forma: *mnie*. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *hijacynt* – dziś popr.: *hiacynt*. [przypis edytorski]

### III

Kiedym się obudził, nawiasem mówiąc, przerażająco głodny – ujrzałem dokoła siebie kilka postaci ludzkich, zarówno mężczyzn, jak kobiet, których widok wywołał w mojej duszy taki podziw, że mi się przypomnieli ci podróżnicy greccy, co to do obcych krain zajeżdżając, pytali napotykanym mieszkańcom: „Czy jesteście bogowie czy ludzie?”

Mogą na innych gdzieś planetach przebywać istoty o tyle od nas doskonalsze, że w stosunku do nas są jak bogowie. Takimi istotami zdali mi się ci ludzie, którzy mnie otaczali.

Mówili coś między sobą szeptem bardzo śpiewnym, ale tak że ich prawie nie słyszałem: widać nie chcieli mnie obudzić.

Jeden tylko z tych szeptanych wyrazów dopłynął do mego ucha, gdyż kilka razy go powtarzali. *Ingleza – ingleza* – mówili, jak domyślałem się, o mnie, uważając mnie za Anglika.

Postawę mieli szlachetną, wzrost dorodny; piersi naprzód podane, i czy to w nieruchomości, czy w ruchu, odznaczali się wielką elastycznością.

Cera ich była biała, znacznie bielsza od naszej, alabastrowa z odcieniem różowym.

Kobiety miały bujne włosy na głowie, spięte przepaską; mężczyźni zaś byli wygoleni na sposób rzymski. Włosy były różnych odcieni, zarówno ciemne, jak jasne – i podobnież oczy.

Typów znaczna różnorodność tak, że nie było między nimi podobieństwa, choć i różnica niezbyt jaskrawa.

Wszyscy wydawali się w pięknym wieku od 25 do 35 lat – i od ich osoby wiało czarem młodości i wdzięku. Zwłaszcza ich uśmiech i spojrzenie miało w sobie coś tak powabnego, że można by rzec – rozkochałem się w nich wszystkich w jednym momencie.

Kobiety tutejsze, sam nie wiem do jakiej klasy należące, wydawały mi się tak wytworne, jakby jakieś księżniczki zaklęte albo siostry owej Mimosy Shelley'a<sup>16</sup>, co wśród kwiatów kroczyła po ogrodzie uśmiechnięta i smętna.

Jedna zwłaszcza, w pięknej szacie różnych odcieni barwy lila – mimo woli budziła w mojej pamięci słowa, którymi Dante uczcił Beatrycę:

Tanto gentil e tant' onesta pare  
La donna mia, quand ell' altrui saluta...

Suknie ich były różnej barwy: lila, purpurowej, zielonej; krojem zaś przypominały szaty greckie – a drobne ich nóżki opierały się na trepkach, przewiązanych rzemieniem.

I mężczyźni nosili jakąś odmianę stroju greckiego, rodzaj chlamid, barwy popielatej, szarej, sinej itd.

Wszyscy mieli na sobie wiele ornamentów złotych: naramienniki, łańcuchy, pierścienie.

Nadto każdy z mężczyzn nosił u boku narzędzie, przypominające krótki miecz z rodzaju tzw. *misericordia*<sup>17</sup>.

Niewiasty miały w ręku woreczki, w których zapewne ukrywały się jakieś przedmioty.

Wyznaję, że marzeniem moim było, aby się w tych woreczkach znalazło jakie mięsiwo, trochę chleba, trochę wina.

Choć niezbyt świetnie wyglądałem w swym poplamionym i poszarpanym ubraniu, na widok ich powstałem i zacząłem pokłony im składać, gestami pokazując zarazem, że jestem głodny.

---

<sup>16</sup> Percy Bysshe Shelley (1792–1822) – ang. poeta romantyczny, autor wiersza *The Sensitive Plant (Mimoza)*. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *misericordia* (łac.: miłosierdzie) – tu: mizerykordia, niewielki miecz służący m.in. do dobijania rannych. [przypis edytorski]

Ponieważ znalazłem się w krainie, gdzie wiele zjawisk odbywa się zupełnie inaczej niż u nas, nie dziwie się zatem, że co chwila zaskoczony jakim dziwem – dziwowałem się nieustannie. I teraz właśnie oniemiałem z podziwu.

Słońce w owej chwili stanęło na samym środku nieba: było południe i promienie jakby pionowo spadając na ziemię przepływały, rzekłbyś, przez postać nieznaną mi istot – jakby złąły się z nimi w jedność nierozdzielna; – na mgnienie oka ludzie owi rozplątali się w promieniach i zniknęli, jakby ich nie było zupełnie.

Sądziłem że to były zjawy senne. Ale po chwili ujrzałem ich na nowo, a tak się zachowywali, jakby nigdy nic nie zaszło; snadź o tym nic nie wiedzieli; było to wyłącznie moje wrażenie.

Wówczas dopiero zauważyłem niesłychaną subtelność ich ciała; ich jakby zamglawność i przezroczystość; rzecz by można, że ciało ich będąc ciałem, jednocześnie było jakąś zjawą bezcielesną. Wyznaję, że na nowo zacząłem się wahać, myśląc, co to za jedni: może aniołowie?

Jedna z kobiet – owa Beatrycze – otworzyła swój woreczek i wyjęła z niego złote puzderko, z którego podała mi rodzaj kulki rozmiarów nieco większych niż ziarnko kawy.

Aby mi pokazać, co mam czynić, sama wzięła do ust taką kulkę – zaczęła ją ssać tak jak się ssie tzw. landrynki.

Naśladowałem ją, uśmiechając się sam do siebie, choć zresztą i moja bogini też się uśmiechała.

Owóż w miarę ssania czułem w ustach coraz to inne smaki; tak jakbym kolejno coraz inne pochłaniał potrawy, a zawsze takie, które w danej chwili były dla mego organizmu konieczne. Były też smaki zupełnie mi nieznane, ale bardzo miłe. Była to cała symfonia smaków.

Sam proces ssania sprawiał mi dziwną rozkosz – i, gdym pastylkę w całości pochłonał – poczułem się syty, rześki i pełen siły.

Zacząłem nowymi pokłonami dziękować tym aniołom, że mnie raczyli nakarmić. Oni zaś ruchem, jakby tanecznym, zbliżyli się do mnie i zaczęli mówić. Mówili zaś czystym sanskrytem, starożytnym językiem Indii, który dziś rozpadł się na różne narzecza, skarłowaciał i zwyrodniał, ale tu na tej wyspie przechował się w swej najszlachetniejszej formie.

Poznałem ten język, gdyż miałem o nim, bardzo słabe zresztą, pojęcie: uczył mnie jego elementów nasz kolega uniwersytecki, Marek Aureliusz Wrzesień: ale umiałem niewiele i zapewne nic bym nie zrozumiał, gdyby nie to, że ich mowa miała jakiś szczególny akcent i melodię tak, że choć była mi obcą, stawała się przejrzystą i tak rozumiałą, jak rozumiałą bywa muzyka.

Kazali mi mówić moim językiem: mimo woli i ja wpadłem w ich akcent i melodię – i choć mówiłem z nimi po polsku – rzecz prawie nie do wiary – oni mnie doskonale rozumieli. Był to także jeden z dziwów naszej wyspy.

Jak mi to później wytłumaczyli moi wyspiarze, wszystkie języki, choć mają różną postać, zewnętrzną, mają duszę jedną i tę samą. Owóż oni przenikać umieją poza ciało dźwiękowe języka – w jego esencję astralną; własny język umieją też w jego esencji podawać. Dlatego rozumieją wszystkie języki i umieją zrobić swój język zrozumiałym dla wszystkich.

Przekonałem się o tym później, gdym rozmawiał z dziećmi: mówiły one inaczej i nie mogłem się z nimi porozumieć.

Wyjaśniłem im pobieżnie historię mego wygnania, ucieczki z Syberii i wyprawy na okręcie, który wpadł na minę podwodną. Wreszcie historię o tym, jakem się znalazł na ich wybrzeżu.

Prosiłem ich o gościnę na krótki czas, gdyż chciałem jechać do Europy, o ile się znajdzie jaki statek angielski. Wraziłem im swój podziw, wyznałem, że ich uważam za istoty wyższe od ludzi.

Z wielką radością przyjęli moje oświadczenia – i nagle, o dziwo! (ciągle tu muszę wołać: o dziwo!) dwaj mężczyźni, którzy stali przy mnie, unieśli się w powietrze i polecili jak ptaki w stronę gór.

Gdy zdumiony byłem tym zjawiskiem, owa bogini w sukni lila różnych odcieni – (miała na w imię Damajanti) powiedziała mi z uśmiechem:

– My tu wszyscy umiemy latać po powietrzu.

- Jakże się to dzieje?
- Taka jest nasza natura.
- Ależ nigdzie na świecie tego nie ma. Nasze samoloty, cóż to za ciężkie maszyny!
- Nie od razuśmy<sup>18</sup> do tego doszli. Ale już z górą od stu lat to znamy – od ostatniej rewolucji.
- Rewolucji? Czyż to wśród aniołów możliwe są rewolucje?
- O, my nie jesteśmy anioły.
- Ale bądź jak bądź istoty wyższe niż ludzie.
- Może tak, a może nie!
- Któż wy jesteście? Jak się nazywa wasz kraj?
- Nazywa się Suriawastu.
- Suriawastu? Gród słońca?
- Tak – i dlatego zowiemy się Solari albo Słońcogrodzianie. Zajmujemy środek tej wyspy.

Oprócz naszej Republiki – są tu jeszcze dwa państwa, *cale*<sup>19</sup> inaczej zorganizowane niż Suriawastu. Na Zachodzie siedzą Telury<sup>20</sup>, na Wschodzie – Kalibany<sup>21</sup>.

Kiedy mnie tak pouczała Damajanti, dwaj mężczyźni, którzy na skrzydłach polecili, z niedaleka widocznie, wrócili wózkiem bez konia; był to rodzaj samochodu z materii jakby rogowej urobionego.

Wózek ten był mały, na dwie osoby, z jednym siedzeniem i na przodzie miał rodzaj steru. Kazano mi sięść do tego wózka, a wraz ze mną siadła Beatrycze.

Reszta towarzystwa, uprzejmie pożegnawszy się z nami, poleciała powietrzem ku górze, na której leżała stolica kraju. Mój czarowny woźnica szepnął parę słów do wózka, ujął za ster i ruszyliśmy.

Skoro tylko mineliśmy piaszczysty cypel nadbrzeżny, znaleźliśmy się na płaskowzgórzu coraz to wyżej się wznoszącym.

Były tam wszędzie pięknie uprawne pola ryżowe i pszeniczne, a wśród nich wielkie kwadraty, obsiane kwiatami: już to krzaki różane, hijacynty<sup>22</sup>, tulipany, migdały, cytryny itd.

Szerzyły one po powietrzu upajający zapach, który się mieszał<sup>23</sup> z zapachem żywicy, płynącej z lasów cedrowych.

Zauważyłem, że Damajanti pełną piersią wdycha te zapachy – i tak się nimi przenika, że sama wkrótce zapachniała wonią tych aromatów. Wysokie palmy kwitły tu wszędzie po drodze, ale były też dęby, topole, graby i cedry.

Na pastwiskach liczne krowy, owce i kozy.

Od czasu do czasu przejeżdżaliśmy przez wsi i miasteczka, pełne ludzi nie mniej dostojnie wyglądających jak ci, których ujrzałem po przebudzeniu. Po drodze stały liczne posągi miejscowych bogów, których znaczenie później mi wytłumaczono.

Podziwiałem sprawność mojej Damajanti, jak manewrowała sterem naszego samochodu, który sunął w górę ze znaczną prędkością – po gościńcach doskonale ubitych, równych i szerokich. Zaznaczyć muszę, że samochód zachowywał się wprost jak istota świadoma – i że bardzo mały był wysiłek mojej przewodniczki: wózek rzekłbyś toczył się sam przez się.

Niezwykle czarującą była moja Słonecznianka i poczułem do niej jakąś niezgłębioną sympatię. Wydawała mi się jakby istotą znajomą. Gdzie – skąd – jakim sposobem? A jednak było w niej coś

---

<sup>18</sup> *Nie od razuśmy do tego doszli* – dziś: nie od razu do tego doszliśmy. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *cale* (daw.) – całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *Telury* – prawdop. od łac. *tellus, telluris*: ziemia. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *Kalibany* – nazwa nawiązująca do postaci Kalibana z *Burzy* Shakespeare'a. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *hijacynt* – dziś popr.: hiacynt. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *mieszać* – dziś popr.: mieszać. [przypis edytorski]

takiego. I czułem z jej strony coś niby sympatię dla mnie. Jednak tyle mnie zagadek dręczyło, że chciałem przede wszystkim dotrzeć do ich rdzenia.

Jedziemy więc do stolicy: do Suriawastu. Suriawastu to znaczy Gród Słońca. Nazwa ta przypomina *Cittá del Sole. Civitas Solis*, którą opisał podróżnik włoski z XVII wieku, Tommaso Campanella<sup>24</sup>.

Była to szczęśliwa kraina, w której się urzeczywistniły wszystkie ideały społeczne, o jakich my dzisiaj zaledwie marzyć śmiemy, jako o utopii.

Campanella za ten opis wyprawy do nieznannej Hesperii został wtrącony do więzienia a dzieła jego spalono przez kata, gdyż była to gorzka krytyka egoizmów świata ówczesnego, a zarazem rząd obawiał się, że gdy się ludność dowie o tej ziemi obiecanej – opuścić gotowa własne wsi i miasta.

Czyżby to była owa *Cittá del Sole*?

Campanella ogłosił dzieje swej wyprawy w połowie wieku XVII, to znaczy z górą trzysta lat temu. Nikt jej później nie odwiedzał.

Ileż zmian mogło zajść od tego czasu? Jak musiał się posunąć rozwój tych ludzi doskonałych!

Sam już widok tych Solarów – był czymś tak imponującym, że, choć Europejczyk, czułem się od nich znacznie niższy.

Nie widziałem tu co prawda ani kolei żelaznych, ani kominów fabrycznych, ani wielkich targowisk, ale na każdym kroku widoczną była tak szlachetna kultura, że nasza wydawała mi się przy niej wielce pierwotną.

Wielu rzeczy nie rozumiałem zupełnie: np. wszędzie tu po wsiach i po miastach widziałem budynki, które przypominały formą suszarnie zbożowe, pospolite na Białorusi, ale znacznie wyższe i obszerniejsze: przy tym budowane były z tego samego materiału, co nasz samochód.

Nie spotykałem tu nigdzie tego, co się w Europie nazywa „ludem”. Wszystkie napotykanne osoby zdawały się należeć do najwytworniejszej klasy.

Po drodze rzadko kiedy trafiali się przechodnie: co najwyżej dzieci, które zresztą niczym się nie różniły od naszych dzieci europejskich: tak samo biegały, latały, skakały, biły się, krzyczały. Zawsze gdzieś obok znajdowała się kobieta, która czuwała nad nimi. O ile byli starsi chłopcy – czuwał nad ich zachowaniem się mężczyzna.

Wielu było latających w tę i ową stronę po powietrzu; niektórzy witali się z sobą, zatrzymywali po drodze, rozmawiając; przy czym, jak ptaki, umieli trwać zawieszeni w powietrzu.

Przyglądając się tym wszystkim rzeczom, wspomniałem, że Campanella wyspę, na której mieści się Słońcogród, zowie Taprobane. Zapytałem swą Beatrycze:

– Gdzie tu leży wyspa Taprobane?

– A no, właśnie to nasza wyspa.

– Kraj wasz jest mało znany, ale trzysta lat temu pewien Włoch, imieniem Campanella, opisał waszą Republikę. Czy znacie to nazwisko?

– Ja go nie znam, ale będzie o tym wiedział albo sam Metafizyka, albo minister Mądrość.

Serce mi bić zaczęło: to się zgadza ze słowami Campanelli.

– Cóż to znaczy?

– Zdaje mi się, że ty coś wiesz o tym wszystkim. Ale ci powiem: w kraju naszym najwyższy naczelnik nosi tytuł Słońce albo Metafizyka, gdyż na zasadach metafizyki kieruje naszym życiem. Pomagają mu trzej ministrowie: Miłość, Mądrość, Potęga – a bacz, że są to trzy główne atrybuty Boga i że ich esencję streszcza Metafizyka czyli Słońce.

– A więc nie ma wątpliwości. To jest *Cittá del Sole* Campanelli na wyspie Taprobane.

– Słońce wszystko wie: on ci to wszystko powie.

---

<sup>24</sup> Tommaso Campanella (1568–1639) – lekarz, poeta i myśliciel wł., napisał dzieło pt. *Civitas Solis* (Republika Słońca [dziś: Państwo Słońca; Red. WL]), w której przedstawia utopijny świat doskonały. Jest to, mówiąc językiem dzisiejszym, społeczeństwo w rodzaju socjalistycznym, kierowane przez trzech mędrców, których imiona są: Miłość, Mądrość i Potęga, pod wodzą najwyższego: Słońca, czyli Metafizyki. [przypis autorski]

– Daleko to jeszcze do stolicy?

– Dla nas, co latamy po powietrzu – odległość prawie nie istnieje. Ale dla ciebie, co musisz jechać wózkami – od brzegu do miasta jest dziesięć *jodżan* (kilometrów). Te wózki są dla naszych dzieci, dla chorych, dla przewozu rzeczy itd., w ogóle gdy latanie jest niemożliwe. Dzieci nasze latać nie umieją. Podjeżdżamy teraz pod samą górę.

Zaczynał się gościniec ślimakowaty, prowadzący do jakiegoś punktu centralnego. W tej chwili moja towarzyszka wydobyla z woreczka małą flaszkę i rodzaj kielicha, do którego wlała trunek bezbarwny, proponując, abym się napił. Był to nader miły w smaku nektar ognisto-lodowaty, który mnie wzmocnił i doskonale orzeźwił.

– Często tu do was przyjeżdżają ludzie z Zachodu?

– Trafia się, owszem. Ale w ogóle my ich unikamy. Trudno by się nam porozumieć. Mamy i na tej wyspie podobnych.

– Jak to podobnych?

– Telury i Kalibany – są do was podobni. Tak jak Anglicy: ludzie drapieżni.

– Alboż my jesteśmy drapieżni?

– To ci Słońce wyjaśni. Tak o was tu mówią: że wy się mordujecie nawzajem, że walczyicie ze sobą o rzeczy nędzne i marne, że zapomnieliście ducha. Jesteście pogrążeni w mroku i niższości. Zmysły macie niedorozwinięte: nie przewyższyliście sami siebie, a namiętność popycha was w stronę piekła. Wreszcie i zewnętrznie się różnimy. My umiemy latać, a wy nie. Wy robicie maszyny, a nam to niepotrzebne. Wszystko czynimy wolą własną. A przy tym jedna rzecz, to...

– To co?

– Proszę się nie obrazić. Wasze ciało ma przykry zapach. Musiałam tyle aromatów się nałykać, że aż cała przesiąkałam wonią kwiatów, aby twój zapach zagłuszyć. Kiedy przyjedziesz do miasta, musimy cię wykąpać.

Mimo woli się uśmiechnąłem, a zarazem przykro mi się zrobiło, że tak nieszczególnie wrażenie wywieram na tej osobie, którą miałem zamiar traktować jako swą Beatrycze. Mówiła to z nadzwyczajnym wdziękiem i rzeczywiście nie mogłem się obrazić.

Tylko po prostu zbiła mnie z pantałyku... Nasza cywilizacja zupełnie tym Solarom nie imponuje: uważają się za twory doskonalsze. Rzeczywiście subtelność ich ciała znacznie przewyższa naszą: jest to jakby motyl wobec poczwarki.

Tymczasem podjeżdżaliśmy pod miasto, którego mury i kamienice były widoczne.

Ruch na gościńcu był znaczny; samochody podobne do naszego były liczne: niektóre bardzo obszerne. W jednym widziałem blisko czterdziestu chłopców ze starszym, zapewne nauczycielem. Na widok mój zaczęli wołać:

– *Inkleza, inkleza!*

Moja bogini rzekła mi poufnie:

– Musimy cię przebrać po tutejszemu, bo cię będą prześladować dzieci, które u nas mają wielką swobodę.

– Ale – rzekłem – dzieci nie są do was podobne: raczej do nas.

– Bo muszą one przejść przez stan czysto ludzki, zanim się podniosą i wyzwolą z więzów materii.

– Nie bardzo to rozumiem.

– W tych dniach właśnie odbędzie się święto wyzwolenia: mój brat cię zaprowadzi.

W tej chwili z wyżyny powietrznej spłynął ku nam Solar i zatrzymawszy się koło wozu, zawołał:

– *Damajanti!*

– Wasiszta – bądź pozdrowiony! Oto mój brat – rzekła do mnie. Bracie, zatrzymał się tu u nas Anglik – rozbitek. Musisz go przyjąć w swoim domu.

– Miło mi będzie. Lecę tylko na pole Marsowe, żeby tam jedną rzecz stwierdzić i za siedem minut będę w domu. Uprzedzę żonę o tym cudzoziemcu, któremu niechaj się szczęści.

Poleciał w swoją stronę – my zaś tymczasem płynąc wśród wonnych ogrodów podmiejskich – powoli wjeżdżaliśmy do miasta.

## IV

Suriawastu do dziś zachowało typ, jaki opisuje Campanella.

Chociaż mury są dziś niepotrzebne, jednakże nie zburzono ich wcale. Miasto rozmiarami zdaje się większe od Rzymu lub Kopenhagi; mury ma wysokie, grube, z białego wapienia budowane: siedem bram prowadzi do miasta, a każda brama odpowiada jednej z planet.

Świątynia każdej z planet stoi tuż koło bramy, a przy niej posąg odpowiedniego boga-opiekuna planety.

Świątynie budowane są z materiału takiego samego, jak nasz samochód i owe wieżycy, podobne do suszarni.

Jakkolwiek szczegóły miasta poznałem dopiero później – to jednak opiszę je od razu, aby już do tych szczegółów nie wracać.

Miasto ma w punkcie centralnym bardzo obszerny rynek, formy kolistej, na którym stoją najważniejsze świątynie i budynki, a w samym środku forum wysoka na sto dwadzieścia metrów wieża, na której galerii szczytowej straż czuwa nad bezpieczeństwem kraju.

Ponieważ – jak to zauważyłem rychło – Solari mają zmysły daleko potężniejsze od naszych, widzą zatem znacznie dalej, tak, że dostrzegają wszystko, co się dzieje w kraju oraz po jego stronie wschodniej i zachodniej; o ile zaś *chcą*, obejmują wzrokiem jeszcze dalsze widnokreśli.

Miasto dzieli się na dwanaście kwartałów, które promieniowato rozchodzą się z centrum: każda dzielnica odpowiada jednemu ze znaków zodiaku.

Każda dzielnica ma szeregi ulic, przeplatanych zielenią ogrodów, które tworzą jakby równoległe ulice. Obok zieleni i kwiatów wszędzie tu słychać śpiew i muzykę. Jak nie zauważyłem tzw. „ludu”, tak samo nie widziałem dzielnic ubogich. Domy wszystkie są z materiału podobnego do szkła, albo z tegoż rogowego materiału, co świątynie i suszarnie: najwyżej bywają dwupiętrowe i mają wszędzie balkony i galerie. Zdaje się, że schodów tu nie ma: ludność, umiając latać, od razu unosi się na swoje piętro i tamtędy przez okno dostaje się do domu.

Najciekawszy był plac centralny, na którym tuż pod wieżą i jako jej podstawa mieści się świątynia Słońca, która jest zarazem świątynią Metafizyki; tu przesiaduje główny naczelnik Republiki oraz jego służba pomocnicza.

Tu również jest główna sala Rady państwowej, w której zbierają się ministrowie i mędrcy, przez naród wybrani.

Świątynia ta ma daleko i głęboko idące podziemia, w których mieszczą się rozmaite wielkiej wagi urzędnicy.

W pobliżu są tu trzy świątynie oraz ministeria Miłości, Mądrości i Potęgi – a nadto inne budynki niezmiernej wagi, które poznałem później, a które wszystkie wiążą się z wytwarzaniem i przetwarzaniem pramaterii, zwanej Nirwidium oraz praenergii, zwanej Nerwidium.

Później wam wytłumaczę, jakim sposobem tu na tej dalekiej wyspie Tapobrane ludzie doszli do tej samej nazwy, jaką swemu pierwiastkowi nadał Nirwid.

Na ulicach był pewien ruch kołowy, jednakże nasz wózek i moja osoba budziły niemałe wrażenie. Cudzoziemcy rzadko się tu zdarzają. Co do mojej Beatryczy – to widziałem, że jest osobą znaną powszechnie. Zarówno mężczyźni, jak kobiety witali ją życzliwie, podnosząc ręce do góry.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przed niewielkim domem, odosobnionym – i wyszedł mój gospodarz, imieniem Wasiszta, wraz ze swą żoną; gospodarz przedstawiał typ energicznego mężczyzny, jakby żołnierza – i jak wszyscy, miał u boku *miseriordię*.

Damajanti rzekła:

– Oddaję ci tego cudzoziemca pod opiekę. Ten Anglik jest rozbitkiem i czeka na okręt, co by go zawiózł na Zachód. Jest znużony, głodny, w szatach nietutejszych. Wykąpcie go w wodzie nirwidialnej, dajcie mu posiłek należyty i przystrójcie go w nowe suknie. Cudzoziemiec dziwi się

wielu rzeczom, których nie widział w swoim kraju: więc mu wyjaśnijcie, czego nie rozumie i odkryjcie mu tajemnice, które można odkryć. Pozostawiam mu wózek, aby mógł z niego korzystać. Bądź pozdrowiony, cudzoziemcze! Żegnam ciebie!

Zacząłem jej dziękować za uprzejmość i przepraszać, że jako obcy – niejedną mogłem jej przykrość uczynić.

Pocałowałem ją w rękę: była to śliczna, biała, delikatna, pachnąca dłoń królowny.

Uśmiechnęła się i z daleka – symbolicznie – pocałowała mnie w czoło.

I znów zaczęło mnie dręczyć pytanie, że jednak jej osoba nie jest mi nieznana: ale skąd ja ją znam? co za jedna? nie byłem w stanie sobie przypomnieć – i zacząłem przypuszczać, żeśmy się znali w żywocie poprzednim.

W chwili, gdy mnie Damajanti całowała w czoło, zjawił się ten sam mężczyzna, który mi sprowadził samochód. Był to, jak się okazało, mąż mojej przewodniczki.

Przyznam się, że mnie ta wiadomość dotknęła w serce, jak małe ukłucie. A ja jużem zaczął marzyć. Ach! *Tanto gentil e tant' onesta pare...*

Odlecieli. Wasiszta oraz jego żona, rodzaj Andromachy, poprosili mnie do środka.

Przede wszystkim, zgodnie z rozporządzeniem siostry, Wasiszta zaprowadził mnie do kąpieli. Była to wanna, jakby majolikowa, do której wlał mi sam wody dziwnie błękitnego koloru, temperatury umiarkowanej (27 stopni Réaumura<sup>25</sup>) i przesiąkłej aromatem orzeźwiający.

Wykąpałem się z rozkoszą i poczułem się po tej kąpieli nadzwyczaj wzmocniony, a tyle ze mnie wypłynęło wszelkiego potu, że byłem jakby nowym człowiekiem. Nigdy żadna kąpiel na mnie tak nie oddziaływała.

Naraz, tak mi się zdawało, zaczynało mi się w oczach rozjaśniać; lepiej rozumiałem tutejszych ludzi.

W czasie mojej kąpieli Wasiszta wyszedł, ale w pewnej chwili powrócił i, gdym się wycierał ręcznikiem, oblał mnie jakimś czarującym pachnidłem, bardzo subtelnym, które przeniknęło moje całe ciało.

Jednocześnie przyniósł mi suknie, krojone podług mody miejscowej, tak że, gdyby nie moje gruboskórne ciało, niczym bym się nie różnił od Solarów.

Później zaproszono mnie na posiłek.

Wszedłem do sali, gdzie na sposób wschodni – stół był niski, a zamiast krzeseł – poduszki na ziemi. Nieznany mi instrument (ale nie gramofon) sam przez się grał piękne melodie.

Właściwie na stole była tylko kryształowa wazka, w której mieściły się pastylki w rodzaju tych, jakimi rano częstowała mnie Damajanti.

Było nas przy stole troje: to jest moi gospodarze i ja.

Naśladowałem ich we wszystkim: każde wzięło po jednej pastylce – i właściwie to stanowiło cały obiad.

Nadto widziałem, że jednocześnie brali w ręce wazoniki kwiatów, stojące na stole przed każdym z nas i wdychali ich aromat, w sposób specjalny, którego nie mogłem się nauczyć.

Jak mi to później wytłumaczono, zapachy stanowiły nie mniej poważną część pożywienia, jak i owe tajemnicze pastylki.

Nadto była tam na stole karafka wody źródlanej i mała flaszka, napełniona płynem bezbarwnym. Gospodarze poczęstowali mnie troszką owego płynu, który rozrabia się wodą – i sami sobie podobny trunek przygotowali. Trunek to był milszy nad wszelkie wino.

Na tym skończył się obiad.

---

<sup>25</sup> René Antoine Ferchault de Réaumur (1683–1757) – fr. uczony, twórca skali termometrycznej, używanej jeszcze na początku XX w. Wg tej skali woda zamarza przy 0 st., a wrze przy 80 st., zatem wspomniane 27 st. R. odpowiada ok. 33 stopniom w skali Celsjusza. [przypis edytorski]

Musiałem raz jeszcze opowiedzieć swoją historię oraz moje spotkanie z panią Damajanti i jej towarzystwem – i jednocześnie z trudem przypominałem sobie: do kogo podobną jest Damajanti?

Ale i ja byłem ciekawy; zapytałem mego gospodarza, co to za potrawa te pastylki; co to za napój – i skąd się bierze?

– Jest to wyrób sztuczny, ale my go znamy od dość dawna. Daje on nam sumę należytą wszystkich pierwiastków koniecznych do odżywiania ciała – i uwalnia nas od walki o jadło, która u was, ściśle biorąc, całe życie zapełnia: widzimy to u Telurów, u Kalibanów i u Anglików. Jedna pastylka dziennie zupełnie wystarcza; ale dwie, nawet trzy, nie zaszkodzą.

– Od jak dawna wy to znacie?

– Od ostatniej rewolucji. W owym to czasie nasz minister Mądrości Agastia wynalazł zasadniczą materię bytu – niejako astral materii – i nazwał go Nirwidium.

– Nirwidium? – zawołałem zdumiony, aż zimny pot spłynął mi po czole: przypomniał mi się Nirwid – jego teorie naukowe – jego tajemnicza maszyna – i jego śmierć tragiczna.

– Tak – Nirwidium – to znaczy po sanskrycku mniej więcej tyle co „ciało niewidzialne”. Nie wszystko mogę ci o tym powiedzieć, bo jestem w służbie Potęgi, ale ktoś z ministerium Mądrości lepiej ci to wytłumaczy. Bez Nirwidium nie bylibyśmy tym, czym jesteśmy. Gdyż Nirwidium wyzwala nas od ciała pierwotnego, w którym dziecinne przepędzamy lata, a w którym wy trawicie cały żywot.

Zauważyłem, że tu nikt się nie wstydzi przyznać, że czegoś nie wie. Zresztą nie bardzo rozumiałem jego ostatnie słowa. (Ale do kogo podobna jest Damajanti?) – Gospodarz mówił dalej:

– Następnie Nirwidium, żywiąc nas, jak to widziałeś, umożliwiło nam rozwiązanie bardzo zawiślanej sprawy socjalnej. Po prostu zmieniło naturę człowieka: bez zmiany człowieka, nie zmienisz społeczności. Na koniec Nirwidium dało nam siłę niezwyciężoną: ten maleńki mieczyk, który widzisz – jest dostateczny, by trzymać w odwodzie bardzo liczną armię. Tysiąc żołnierzy naszych wystarczy przeciw stu tysiącom wrogów. Byłeś dzisiaj na mieście i widziałeś spokój zupełny: a tymczasem my jesteśmy w przededniu wojny. Z jednej strony idą Telury, z drugiej – Kalibany. Za dwa, trzy dni będzie wojna.

– Jeżeli jesteście tak potężni, czemu ich nie podbijecie?

– Dla wielu powodów: nie chcemy do swej republiki wprowadzać elementów niższych, a nadto uważamy, że dobrze jest mieć nieprzyjaciół, gdyż ci zmuszają nas do czujności i stałego pogotowia. Gdybyśmy ich podbili – mielibyśmy w organizmie zarazek szkodliwy – i stracilibyśmy czujność. Niewolników zaś mieć nie chcemy.

– Jakże działa ten mieczyk, jeżeli wolno zapytać?

– Pokażę ci to innym razem. Będziemy mieli ćwiczenia wojskowe – jutro, lub pojutrze.

– A teraz jeszcze proszę mi powiedzieć, co to za napój?

– Jest to diament płynny. Na naszej wyspie jest niezliczona ilość diamentów, a zresztą za pomocą Nirwidium umiemy przetwarzać węgiel na diament. Również przy pomocy pewnej reakcji Nirwidium – diament się skrapla i staje się tym płynem bezbarwnym, który piłeś. Zazwyczaj mieszamy go z sokiem winogron – i mamy wino nad wina!

Pani Sakuntala, żona mego gospodarza, mało się odzywała w czasie naszej rozmowy. Umiiała za to milczeć w niezmiernie miły sposób, co jest rzadkim talentem. Od czasu do czasu zbliżała się do instrumentu muzycznego, gdy milknął – i na nową melodię go nastrajała. Nagle spojrzawszy w okno, rzekła:

– O, idą moi rodzice.

Jakoż wkrótce wszedł do izby piękny starzec o postawie senatora z dostojną niewiastą, jaką być musiała Wolunnia, matka Koriolana.

Pokłoniłem się tym czcigodnym osobom, które już o mnie były uprzedzone przez Damajanti. Ale Wasiszta z wielkimi pochwałami mówił o Angliku (ciągle mię tak nazywano).

Starzec powiedział:

– Dzieci drogie, mija właśnie trzydzieści lat, jak żyję z waszą matką: ponieważ niewiele życia zostaje mi na ziemi, przeto postanowiłem wziąć z nią ślub. Słyszę, że będzie wojna; przed wojną zatem chcę tę ceremonię odprawić.

Nowe zdziwienie, jak rozumiecie, ogarnęło moją duszę. Sakuntala, kobiecym instynktem wiedząca, zrozumiała moje zdziwienie.

– Angliku, powiedziała, osobliwe ci się zdaje to, co usłyszałeś. Wiedz zatem, że u nas ślub nie jest początkiem współżycia dwojga ludzi, ale jego uwieńczeniem i zakończeniem; on to współżycie zatwierdza. Jesteśmy w wyborze ukochanych swobodni, choć podlegli ministrowi Miłości; ale żyjemy z sobą bez żadnej sankcji prawnej – i, o ile wybór okaże się mylny, rozchodzimy się bez gniewu i żalu. Jednakże są to wypadki nader rzadkie, gdyż u nas zarówno mężczyźni, jak kobiety – mają bezwzględną skłonność do jednożeństwa przez całe życie. Można powiedzieć śmiało, że ministerium Miłości rzadko się myli – i bardzo trafnie dobiera tych, których ma w związki połączyć.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.